

R.J.
Pineiro



Wahadłowiec

Tytuł oryginału: *The Siege of Lightning*

©R.J. Pineiro

© 2020 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-44-4

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB
oraz Espadon Publishing Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

R.J. PINEIRO

Wahadłowiec

Przekład: Andrzej Zieliński

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

Podziękowania

Pragnąłbym podziękować Kay Grinter z biura prasowego NASA (Narodowej Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej) w Centrum Kosmicznym imienia Kennedy'ego, za jej wydatną pomoc i dostarczenie mi wszelkich informacji technicznych na temat wahadłowców, misji orbitalnych, szkolenia załóg i ogólnego funkcjonowania Centrum Kosmicznego. Ewentualne błędy techniczne w tej powieści obciążają wyłącznie mnie.

Za pomoc i wartościowe rady w pierwszej fazie powstawania rękopisu podziękowania należą się Gary'emu Mushli.

Dziękuję mojej żonie, Lory, za towarzyszenie mi w chwilach załamań i wysłuchiwanie moich żalów oraz pomysłów. Nigdy nie straciła cierpliwości podczas długich nocy i weekendów, kiedy powieść ta była pisana i przerabiana.

Moi rodzice, Rogelio i Dora, zawsze dodawali mi otuchy i zachęcali do pracy. Dziękuję im. Mieli rację. Potrafiłem.

Specjalne dzięki rodzinie Wiltzów: Mike'owi, Lindzie i Michaelowi, którzy zawsze mieli dla mnie czas.

Dziękuję także Billowi Moserowi, który przed prawie trzynastu laty ofiarował mi pierwszą powieść szpiegowską, otwierając nastolatкови oczy na nieznany świat.

My, katolicy, mamy zawsze jakiegoś świętego na każdą okazję. Świętym od rzeczy niemożliwych jest Juda. Ponieważ opublikowanie powieści jest temu określeniu bliskie, któregoś dnia zacząłem się do Judy modlić. I chyba się opłaciło. Dziękuję, święty Judo!

Chciałbym wreszcie podziękować dwóm osobom, które umożliwiły ukazanie się tej książki. Mojemu agentowi w firmie William Morris, Mattowi Bialerowi, i redaktorowi w wydawnictwie Berkley, Andy'emu Zackowi. Bez ich pełnego poparcia, pomocy i rad ta opowieść pozostałaby na dyskiecie komputera.

Dzięki.

R. J. Pineiro

Austin, Texas, 1992

PROLOG

Kosmodrom Bajkonur, wschodni Kazachstan

Skąpany w ciepłym, różowym blasku jesiennego zachodu słońca rosyjski bezzałogowy prom kosmiczny Progress VI zadygotał, gdy tylko zagrały silniki rakiety mającej wynieść go na orbitę – silnik centralny i cztery rakiety startowe. Rozległ się ryk spalanej mieszanki: nafty lotniczej pod bardzo wysokim ciśnieniem, która wchodziła w niezwykle gwałtowną reakcję z utleniaczem. W jamę deflektora płomieni uderzył ciąg rzędu dwustu tysięcy kilogramów.

Skryta w słupie ognia i dymu rakietą jakby wahała się przez kilka sekund, podczas gdy potężna siła pokonywała ziemską grawitację, usiłując oderwać od płyty startowej masę 130 000 kilogramów. Wreszcie bezzałogowy prom uzyskał potrzebną energię, by móc opuścić powierzchnię Ziemi. Dzięki specjalnemu systemowi przeciwwag opadły na boki cztery potężne ramiona podtrzymujące, w żargonie kosmonautów zwane „tulipanem”, które obejmowały prom w pozycji stojącej. Gdy raketowe silniki RD-107 odrywały prom od wyrzutni, w uszach obserwatorów, którzy znajdowali się dwa kilometry dalej, ukryci w betonowych bunkrach, niemalże pękały bębni.

Pokładowe komputery wydawały rakietom startowym setki dyspozycji na sekundę, by utrzymać przewidziany tor lotu. Po czterdziestu pięciu sekundach rakietą wynosząca prom na orbitę przekroczyła prędkość dźwięku. Pozostawiając za sobą długi wzburzony ogon gazów spalinowych, rakiety startowe pracowały jeszcze przez osiemdziesiąt sekund, po czym odpadły od centralnego silnika, który przez następne dwieście sekund spełniał rolę drugiego stopnia rakiety. Jednak już po następnych czterdziestu sekundach zadziałały ładunki rozrywające, które rozdzieliły na dwie połowy, rozchyliły i odrzuciły pancierz ochronny trzeciego stopnia rakiety, odsłaniając kadłub promu kosmicznego. Na wysokości 140 kilometrów odpadły wypalone szczątki drugiego stopnia rakiety i rozpoczął pracę silnik RD-461 trzeciego stopnia, zapewniając przez następne dwieście czterdzieści sekund końcowy ciąg rzędu 25 tysięcy kilogramów i wyrzucając Progress VI na eliptyczną orbitę ze wschodu na zachód, o perygeum 225 kilometrów i apogeum 455. Plan lotu przewidywał pozostawienie promu na tej orbicie przez siedem godzin i piętnaście minut, po czym główny silnik Progressu VI miał trzykrotnie, krótkimi odpaleniami orbitalnymi, doprowadzić prom do stacji kosmicznej Mir.

Satelita do badań oceanograficznych, Olympus 6-F8, krążył na wysokości 225 kilometrów po swej niskiej wokółziemskiej orbicie. Pochylony pod kątem 820 do eliptyki, dokonywał pomiaru wód przybrzeżnych Wenezueli. Jego zespół przetwarzania danych odstąpił chwilowo od wykonywanego zadania, reagując na priorytetowy sygnał z nazimnej stacji kontroli w Gujanie Francuskiej. Ów sygnał nakazywał procesorowi komputera pokładowego wykonanie jednorazowego programu, który po spełnieniu zadania natychmiast miał zniknąć z pamięci, polecając uprzednio wyrzucenie z satelity białego przedmiotu o cylindrycznym kształcie. Przedmiot ów pozostawał w ukryciu od chwili wyniesienia satelity na orbitę przed kilku miesiącami. Biały cylinder o masie dwustu kilogramów nie posiadał żadnej

aparatury zdjęciowej na podczerwień czy mikrofalę, tak jak na przykład Olympus czy inny satelita. Półtorametrowej długości walec napędzany był przez sześć silniczków na paliwo stałe. Wokół korpusu o średnicy trzydziestu pięciu centymetrów zamocowano czujniki kierunku i transponder. Korpus osłaniał ładunek stu trzydziestu kilogramów plastycznego materiału wybuchowego HEP z zapalnikiem o krótkiej zwłóce. Cały cylinder pokryty był fluorowęglową żywicą pochłaniającą promieniowanie radarowe, co czyniło przedmiot niemal niewidzialnym, zarówno dla jego twórców, jak i rosyjskich stacji naziemnych, kontrolujących lot Progressu VI. Sześć silniczków odpaliło, wynosząc cylinder na bardzo spłaszczoną eliptyczną orbitę o perygeum trzystu i apogeum pięciu tysięcy kilometrów. Jednak cylinder nigdy nie osiągnął wyznaczonego apogeum. Gdy przyspieszający obiekt osiągnął maksymalną prędkość, jego czujniki w odległości półtora tysiąca kilometrów wykryły prom Progress VI.

Śmiertelna pogoń nie trwała długo. Po osiągnięciu prędkości bliskiej czterdziestu pięciu tysiącom kilometrów na godzinę, biały cylinder dopadł swoją ofiarę w dziesięć minut. Uderzył w tył rosyjskiego promu kosmicznego z prędkością względną ponad pięciu tysięcy kilometrów na godzinę, natychmiast się rozpryskując. Jego plastikowe nadzienie niczym ciasto oblepiło skorupę promu, detonując trzy setne sekundy później. Fala uderzeniowa przemknęła wzdłuż skorupy, setki metalowych odłamków powędrowały w głąb promu, dziurawiąc pojemniki z ciekłym tlenem i paliwem, umieszczone z tyłu pojazdu. Czujniki pokładowe zarejestrowały wydarzenie, ale nie zdążyły przekazać tej informacji na Ziemię. Wybuch tysięcy ton paliwa i ciekłego tlenu stworzył piekło, które, choć trwało tylko kilka sekund, unicestwiło prom kosmiczny Progress VI.

Kourou, Gujana Francuska

Operator przed konsolą z zielonym monitorem rejestrującym sygnały transponderów odczytał informację, która zaczynała migać w lewym górnym rogu ekranu: ORBITALNA ELIMINACJA. Wiadomość ta oznaczała koniec transmisji transpondera białego cylindra, co było równoznaczne z osiągnięciem i unicestwieniem celu. Operator przeniósł wzrok na umieszczony po jego lewej ręce okrągły ekran radaru, by sprawdzić, czy rosyjski prom rzeczywiście przestał istnieć. Usatysfakcjonowany, powrócił do obserwacji powierzchni wód przybrzeżnych Wenezueli, przesyłanych przez satelitę Olympus.

Nowe początki

Nie można nawet myśleć o zakończeniu sięgania do gwiazd, ponieważ jest to zadanie dla pokoleń. I każdemu osiągnięciu towarzyszy podniecająca myśl, że to dopiero początki.

Dr Robert Goddard

Kompleks startowy 39, stanowisko A, Centrum Kosmiczne im. Kennedy'ego, Floryda

Wsparty na rusztowaniu nad betonowym stanowiskiem, połyskujący, pełen wszechpotężnej godności Lightning, mierzył stożkiem nosowym w niebo. Niczym monstrualne drapieżne ptaszysko czekał, by uniosły go w powietrze słupy ognia z jego dwóch potężnych silników rakietowych na paliwo stałe. Zewnętrzny zbiornik paliwa był paskudną, choć konieczną naroślą na gładkiej bieli kadłuba pokrytego ponad dwudziestoma tysiącami ochronnych ceramicznych łusek dopasowanych jedna po drugiej tak, jak dopasowuje się elementy łamigłówki. W tym wypadku gigantyczna łamigłówka miała wartość dziesiątków milionów dolarów. Rozpalone do białości florydzkie słońce podniosło temperaturę przedpołudniowego powietrza do trzydziestu pięciu stopni Celsjusza. Siedzący za sterami odrzutowca Gulfstream II dowódca misji, Michael Kessler, rzucił okiem na kompleks startowy. Właśnie kołował na pas numer 33 – pięciokilometrowej długości podejście dla lądujących promów kosmicznych. Jego Gulfstream poddany był przez NASA licznym modyfikacjom, aby można było ćwiczyć na nim lądowanie bez silników. Kessler płynnie dał pełny ciąg. Zagrzrzały wentylatorowe silniki Rolls-Royce Spey 511-8, dając ciąg blisko dziewięciu tysięcy kilogramów. Piętnastoletnia maszyna pomknęła po rozpalonym betonowym pasie, z każdą sekundą zwiększając prędkość. Kessler uważał, by nos Gulfstreama trzymał się środkowej linii. Sto sześćdziesiąt... Sto osiemdziesiąt... Dwieście dziesięć. Ściągnął na siebie drążek przy dwustu pięćdziesięciu kilometrach na godzinę. Zaczął mówić do automatycznie włączającego się na dźwięk głosu mikrofonu przy kasku:

- Kennedy, tu Pająk Dziewięć Cztery Sześć. Odbiór.
- Dziewięć Cztery Sześć. Słuchamy.
- Wchodzę na dwanaście tysięcy metrów.
- Dziewięć Cztery Sześć. Dwanaście tysięcy metrów. Wiatr ze wschodu dwadzieścia na godzinę.
- Odebrałem.

Kessler ustawił maszynę pod kątem trzydziestu pięciu stopni, wznosząc się szeroką spiralą nad pasem startowym.

– Nienawidzę wznoszenia się spiralą i lądowań bez silnika. Nawet symulowanych – odezwał się z fotela obok kapitan Clayton „Tex” Jones. – To takie śmiertelnie nudne.

Kessler lekko się uśmiechnął. Jones, z którym się przyjaźnił od czasu wspólnej służby na lotniskowcu USS „Constitution” w Zatoce Perskiej, był oficerem Sił Powietrznych, lecz to Kesslerowi nie przeszkadzało. Uważał Jonesa za jednego z najlepszych amerykańskich pilotów.

– Nie jestem pewien, czy nie zmienisz opinii, gdy przyjdzie do lądowania prawdziwym promem. Słyszałem, że wejście w atmosferę wcale nie jest zabawne.

– Niczego nigdy się nie bałem, Mike – odparł Jones. – I nie mam zamiaru teraz zaczynać.

Po dziesięciu minutach Kessler rzucił okiem na wysokościomierz: jedenaście tysięcy dwieście metrów.

– Za chwilę wejdziemy na pułap – powiedział.

Zredukował obroty. Słońce miał teraz po prawej stronie. Ustawił maszynę w kierunku oceanu, przestawił dźwignie ciągu na bieg jałowy i zaczął schodzić pod kątem dwudziestu trzech stopni.

– Co za rozkoszny spokój – mruknął. – Nie mogę zrozumieć, jak może cię to nudzić.

Jones tylko wzruszył ramionami. Po następnych dziesięciu minutach Kessler zawrócił ciasnym łukiem. W odległości piętnastu kilometrów dostrzegł przed sobą pas startowy 33. Wysokościomierz wskazywał trzy tysiące trzysta metrów, prędkościomierz trzysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. O dziesięć powyżej wymaganej do idealnego podejścia. Ściągnął więc nieco drążek. Hydraulicznie wspomagane stery wysokości natychmiast zareagowały. Nos maszyny poszedł do góry, ogon opuścił się. Od chwili rozpoczęcia zejścia na wysokości dwunastu tysięcy metrów przy silnikach pracujących na jałowym biegu, prędkość regulować można było tylko powierzchniami sterującymi.

– Nie idzie ci najgorzej – zauważył Jones.

– Mam nadzieję. Jeśli siedząc za sterami Lightninga spaskudzę podejście, to ciągiem nie poprawię.

– Pas dziesięć kilometrów prosto przed nami. Wysokość dwa czterysta, prędkość trzysta czterdzieści. Doskonale.

– Kennedy, tu Dziewięć Cztery Sześć, odbiór – powiedział Kessler do mikrofonu.

– Dziewięć Cztery Sześć, mamy was na radarze i widzimy. Odbiór.

– Proszę o zezwolenie na lądowanie. Odbiór.

– Dziewięć Cztery Sześć, macie zezwolenie na podejście na pas 33. Wiatr dwadzieścia od wschodu.

– Zrozumiałem, Kennedy.

– Odległość cztery i pół kilometra, wysokość tysiąc pięćset metrów, prędkość trzysta pięćdziesiąt – poinformował Jones. – Nieźle jak na pilota Marynarki.

Kessler parsknął rozbawiony. – Jeszcze nic nie widziałeś, chłopie.

Kessler obejmował drążek dłońmi, dokonując drobnousterkowych korekt kierunku i wysokości, by utrzymać maszynę na właściwej ścieżce schodzenia. Przy silnikach pracujących na jałowych obrotach i z wielkimi statecznikami, które NASA dodała pod wąskim kadłubem, Gulfstream pod względem zachowania się w powietrzu przypominał prom kosmiczny.

– Jeszcze półtora kilometra, pułap sześćset metrów – powiedział Jones.

Kessler skinął głową i leciutko ściągnął drążek na siebie. Prędkość względem powietrza spadła do trzystu kilometrów na godzinę.

– Trzy czwarte kilometra, pięćset metrów – informował Jones.

Kessler pchnął dźwignię wypuszczania podwozia. Jednocześnie odrobinę obniżył nos maszyny, by utrzymać prędkość schodzenia. Spełniający rolę symulatora Gulfstream zbliżał się do początku pasa. Lekki boczny wiatr zepchnął maszynę ku trawie na lewym poboczu, Kessler przesunął więc drążek w prawo, by skorygować kurs. Jednocześnie nacisnął lewy pedał orczyka, kompensując siłę wiatru. Wywołało to kilkustopniowy przechył skrzydeł, sprawiając wrażenie, że maszyna ustawa się pod wiatr.

– Dziewięć Cztery Sześć, leciecie trochę za nisko – zawiadomiła wieża kontrolna.

Krople potu spływały po twarzy Kesslera; ściągał drążek na siebie. Z niepokojem wpatrywał się we wskaźnik kąta nachylenia. Dwadzieścia trzy stopnie... dwadzieścia dwa... dwadzieścia jeden... dwadzieścia...

Zerknął na wysokościomierz. Siedemdziesiąt metrów. Pod maszyną pojawił się nagle pas startowy. Ostatnie sekundy przed lądowaniem wymagały tak wielkiej koncentracji, że Kessler nie zauważył, jak i kiedy zniknęła bujna trawa, nad którą wcześniej lecieli. Kadłub z gracją, łagodnie spływał ku ziemi. Kessler utkwiał wzrok w białej linii oznaczającej środek pasa. Drążek trzymał ściągnięty i, gdy prędkość opadła poniżej stu sześćdziesięciu, pozwolił podwoziu samemu wybrać moment na zetknięcie z betonem. Siedem metrów... trzy metry... metr... Lądowanie. Lekka wibracja oznaczała, że tylne koła dotknęły pasa. Nie ruszając drążka, pozwolił, by przednie podwozie delikatnie opadło.

– Dziewięć Cztery Sześć, kołujcie do rampy – wydała zezwolenie wieża kontrolna.

– Potwierdzam.

– Może starczy? – spytał Jones.

Kessler zrobił głęboki wydech. – Chyba tak.

– To doskonale, bo umieram z głodu.

– Założę się, że marzysz o mięsie.

– Nie o jakimś mięsie, tylko o poledwicy. Co najmniej pół kilo.

Kessler roześmiał się. – Jak sobie życzysz, kolego. To twoje ciało, które nadzie-
wasz cholesterolem.

– To ciało nie narzeka.

– No cóż, niech więc i ja się skuszę. Pójdziemy na tę poledwicę po odprawie.

Po pięciu minutach siedzieli już w furgonetce, zwanej Astrovanem, która zawiozła ich na odprawę. Ponieważ w przeddzień startu Lightninga miała odbyć się konferencja prasowa, szefowie NASA chcieli uzyskać pewność, że obaj astronauty są dobrze przygotowani na spotkanie z dziennikarzami. W drodze do sali odpraw Kessler i Jones milczeli. Dowódca misji wpatrywał się przez przyciemnione szyby w oktagonálną płytę startową o powierzchni blisko kilometra kwadratowego. Na zachodnim skraju platformy wznosiła się ponad siedemdziesięciometrowej wysokości imponująca wieża z wysięgnikami prowadzącymi do pojazdu kosmicznego,

oraz instalacja ruchoma, mogąca obracać się na swojej osi o sto dwadzieścia stopni. Przy obrocie w pozycji najbardziej oddalonej jej ramię sięgało od drzwi magazynowych do drzwi ładowni Lightninga. Instalacja ruchoma oprócz funkcji załadunkowych i rozładunkowych podtrzymywała systemy osłon zabezpieczających prom przed deszczem czy gradem. Kessler głęboko westchnął i przeniósł wzrok na przeciwną szybę, za którą widział plażę, a za nią ocean. Myśłami powrócił do lat spędzonych w Marynarce. Przez długi czas była ona dla niego rodziną i domem. Wspominał kolegów pilotów i nawiązane przyjaźnie. Tyle radości i ponaddźwiękowy koszmar. Wiedział, że wspomnienia te zawsze będą mu towarzyszyć, zajmując stałe miejsce w podświadomości. Wiedział też, że na zawsze będzie przynależał do tego specyficznego gatunku pilotów lotnictwa morskiego. Ludzi, których każda misja musiała mieć heroiczny finał, jakim było posadzenie trzydziestotonowego odrzutowca, pędzącego z prędkością trzystu kilometrów na godzinę, na rozkołysanym pokładzie lotniskowca. Nie było marginesu na błąd. Nie było taryfy ulgowej dla zmęczonego pilota. Od chwili otrzymania licencji pilota, a miał wtedy siedemnaście lat, Kessler wiedział, że poświęci życie lataniu. Wbrew życzeniom ojca, by został inżynierem elektrykiem, Kessler w ciągu trzech lat zdobył dyplom inżynierii lotniczej, studiując na politechnice florydzkiej. Przez te trzy lata zaliczył też wiele godzin jako instruktor pilotażu. Po skończeniu studiów został przyjęty do Centrum Szkolenia Pilotów Marynarki w Patuxent River, w stanie Maryland, gdzie szybko wyróżnił się agresywnym stylem pilotażu. Nigdy nie leciał wolno, jeśli tylko mógł lecieć szybko. Nikt go nigdy nie przyłapał na łagodnym skręcie lub wznoszeniu się. Zawsze parł z całych sił, zawsze doprowadzał maszynę do granic wyznaczonych przez producenta. Stosował prostą logikę: albo wykorzystam wszystkie możliwości samolotu i zwyciężę w powietrznym pojedynku, albo zwycięży mój wróg. Jeśli zrobię czterdziestopięciostopniowy skręt, a wróg zdecyduje się na sześćdziesięciostopniowy, to wygra on. Przegram lecąc z prędkością półtora macha, jeśli on zdobędzie się na dwa machy. Kessler uznawał tylko dwie kategorie pilotów: „szybcy” i „martwi”. Przez wszystkie lata służby czynił olbrzymi wysiłek, by zawsze należeć do „szybkich”. Dzięki studiom politechnicznym posiadał dużą wiedzę w dziedzinie aerodynamiki, co pozwalało mu lepiej zrozumieć siły działające na samolot. Wiedział wszystko na temat marginesów bezpieczeństwa stosowanych przez konstruktorów i wiedział dokładnie, jakie naprężenie dana powierzchnia wytrzyma ponad wartość wymienioną w specyfikacji. Ta wiedza pozwalała Kesslerowi „bezpiecznie” poddawać maszynę dodatkowym torturom, co dawało mu przewagę nad kolegami w Centrum Szkolenia. Po promocji podporucznik Kessler uzyskał wymarzony przydział: lotniskowiec „Constitution”, z którego miał latać na samolotach F-14 Tomcat. Bardzo szybko zdobył szacunek pozostałych pilotów skrzydła podczas operacji Pustynna Burza. W parę miesięcy po przybyciu na lotniskowiec zestrzelił dwa irackie MiG-i-23 – za pomocą działek i przy użyciu jednej rakiety Sidewinder. Było to jeszcze wtedy, kiedy wszyscy uważali go za żółtodzioba. Ten epizod oraz wiele innych podczas kilkuletniej służby w Marynarce zaowocowały nominacją na dowódcę skrzydła, a także rozgłosem, dzięki czemu dostrzegła go NASA i w efekcie ściągnęła do siebie.

Gdy Astrovan jechał północnym odcinkiem Kennedy Parkway w drodze do przemysłowej enklawy Centrum Kosmicznego, wzrok Kesslera padł na budynki zakładu montażu rakiet startowych na paliwo stałe. Zakład mógł w ciągu niespełna sześciu miesięcy – od chwili wyłowienia rakiety z oceanu w odległości 200 ki-

lometrów od brzegu, do chwili umocowania jej przy zewnętrznym zbiorniku paliwa promu kosmicznego – całkowicie zregenerować rakietę startową i napełnić ją paliwem. Kessler zerknął na Jonesa, który miał zamknięte oczy i kolebał się z głową opartą o szybę samochodu. Oficer Sił Powietrznych zachowywał pozory całkowitej obojętności. Jakby był tylko obserwatorem nie dotyczących go wydarzeń. Te go Kessler zupełnie nie mógł zrozumieć. Zwłaszcza czterdzieści osiem godzin przed startem. Kierowca skręcił na Wschodnią Promenadę, a następnie w Aleję C. Wreszcie zatrzymał się przed budynkiem M6-339, gdzie znajdowała się administracja Centrum Kosmicznego imienia Kennedy'ego.

– Obudź się, Tex. Jesteśmy na miejscu.

Jones natychmiast otworzył oczy i wziął głęboki oddech. Kessler odsunął boczne drzwi furgonetki. W parę minut później obaj piloci weszli do sali odpraw.

Paryż, Francja

Wiał lekki popołudniowy wiaterek, poruszając gałęziami pobliskiego drzewa pokrytego wielobarwnym kwieciami, które w pewien sposób ożywiało tęskną melodię wygrywaną przez samotnego saksofonistę, stojącego pod konarami. Zawartość leżącego u stóp muzyka kapelusza świadczyła o hojności przechodniów. Nieco na prawo uliczny sprzedawca oferował świeże bagietki, ale nieliczni o tej porze piesi wydawali się bardziej interesować chłopczykiem, który uczył się jazdy na rowerku, wykorzystując skrawek trawnika za ulicznym grajkciem.

– *François, François! Faites attention! François!*

Cameron Stone usłyszał wołanie matki zaniepokojonej pedałującym zawzięciem dzieckiem, które najwyraźniej pragnęło opanować sztukę jazdy jeszcze przed upływem dnia. Zdenerwowana kobieta dopadła wreszcie synka po drugiej stronie skweru i zaczęła wykrzykiwać coś, czego Cameron już nie rozumiał. Uśmiechnął się i poszedł dalej, wdychając głęboko rześkie powietrze. Jakże dobrze znowu móc chodzić po paryskich ulicach!

Od razu po wyjściu z amerykańskiej ambasady poczuł, że jest w najbardziej chyba bez troskim mieście świata. Co za różnica w stosunku do przynębiających ulic Mexico City, gdzie spędził minione pięć lat.

Rzucił okiem na zegarek i skręcił ku najbliższemu zejściu do stacji metra Place de la Concorde, przylegającemu do ogrodu Luwru. Jednocześnie przyspieszył kroku, gdyż pozostało mu tylko pół godziny na dotarcie do umówionego miejsca na lewym brzegu Sekwany. Miał tam być przed siódmą. Przeszedł przez ulicę de Rivoli i zszedł schodami do podziemia.

W automacie kupił bilet i ruszył łukowato sklepieniem korytarzem wyłożonym białymi kafelkami.

Szybko trafił na właściwy peron, bardzo o tej porze zatłoczony. Ponieważ był szczupły i wysportowany, udało mu się jakoś wcisnąć do pełnego już wagonu, ale twarz musiał trzymać niemal przyklejoną do szyby. Lewą ręką chwycił chromowaną rurę przebiegającą pod sufitem wagonu, prawą wsunął pod płaszcz, podtrzymując kaburę z Berettą. Nie tyle chodziło mu o ewentualną potrzebę użycia broni, co o zabezpieczenie się przed kieszonkowcem. Głupio byłoby tłumaczyć się przed szefem paryskiej placówki CIA, że dał sobie ukraść broń pierwszego dnia pobytu w stolicy Francji.

Zgniatany ze wszystkich stron Stone wyczuwał trzy grube koperty w nieprzemakalnej torebce wszytej pod podszewkę marynarki. W jednej z nich miał fałszywe paszporty i pasujące do nich prawa jazdy, w dwu pozostałych pieniądze na wypadek nagłej potrzeby. Cameron nigdy bez tych kopert nie podróżował. Ani bez beretty.

Hałaśliwa podróż trwała dwie minuty. Potem Cameron przesiadł się na linię metra biegnącą na południe. Wagony były równie zatłoczone.

Misja, którą Cameron Stone otrzymał tego poranka od swego przełożonego, była z pozoru prosta: miał spotkać się z wdową po francuskim naukowcu, konstruktorze raketowym, który poprzedniego dnia zginął w wypadku samochodowym. Wdowa skontaktowała się z CIA i poprosiła o spotkanie. Jej telefon zostałby zignorowany lub informacja o nim rutynowo przekazana władzom francuskim, gdyby nie to, że kobieta użyła alarmowego kodu CIA, choć od dłuższego czasu już nieaktualnego. Niemniej sam fakt posłużenia się specjalnym sygnałem na tyle zaniepokoił zainteresowane osoby, że zdecydowano się na wysłanie w teren agenta. Terenem były okolice bulwaru Saint Michel. Cameron wysiadł z metra na stacji Saint Michel, wyjechał na górę i po chwili szedł już uliczką de Cujas.

Cóż za niezwykła ulica, pomyślał, obrosnięta piętrowymi i dwupiętrowymi domami, z których wiele pochodziło jeszcze z siedemnastego wieku. Wdowa prosiła o spotkanie „gdzieś na uboczu”.

Cameron szedł lewym chodnikiem wąskiej uliczki. Słońce już zaszło, było ciemnowo. Do ściany budynku po drugiej stronie przylegał pionowy sztyl GRAND HOTEL SAINT MICHEL. Fronton domu miał najwyżej dziesięć metrów szerokości, niemniej komuś przyszło do głowy ochrzcić hotelik mianem grand czyli wielki. Cameron doszedł do wniosku, że to bardzo dziwne miejsce na spotkanie z panią Guilloux, wdową po sławnym we Francji uczonym, profesorze Guilloux, człowieku bardzo szanowanym i niesłychanie bogatym. Był on jednym z grona czołowych naukowców zatrudnionych przez Agencję Kosmiczną Athena – dumę Unii Europejskiej.

Athena. Wielka, potężna korporacja. Z otrzymanej tego ranka dokumentacji Cameron dowiedział się, że choć Athena istnieje od wielu już lat, uzyskała znaczenie i stała się potęgą na rynku dopiero po eksplozji promu kosmicznego „Challenger” w 1986 roku. Niemal nazajutrz po tragedii, która spotkała amerykańską agencję NASA, liczne koncerty telekomunikacyjne i instytucje meteorologiczne zaczęły szturmować do biur ESA, Europejskiej Agencji Przestrzeni Kosmicznej, pragnąc zawrzeć kontrakty na umieszczenie na orbicie swoich satelitów, ponieważ utracono zaufanie do Amerykanów. Wspierana przez ESA Athena zaczęła rosnąć jak na drożdżach. Zatrudniała obecnie piętnaście tysięcy pracowników, poprzednio mając ich niespełna pięćset. Dawniej wynosiła na orbitę kilka satelitów rocznie, a teraz realizowała ściśle przestrzegany tygodniowy harmonogram, ledwo mogąc sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu świata na tego typu usługi. Potężna i bogata Athena dysponowała ultranowoczesnym astrodromem w pobliżu miasta Kourou w Gujanie Francuskiej. Ostatnio zapowiedziała realizację lotów europejskiego promu kosmicznego i wyniesienie na orbitę własnej stacji orbitalnej. Wraz ze śmiercią Claude’a Guilloux jego wielka fortuna przeszła na żonę, Marie Guilloux, również znaną uczoną, będącą główną współtwórczynią systemu informatycznego rakiety nośnej Athena V.

Cameron zrobił głęboki wydech. Doszedł do wniosku, że w tej sytuacji robienie tajemnicy ze spotkania i wybór podobnego miejsca wydawały się nie mieć sensu. Przeszedł przez jezdnię i pchnął jednoskrzydłowe oszklone drzwi.

Niemal natychmiast zrobiło mu się niedobrze od cygarowego dymu, który dobywał się z przeciwległego końca długiego i wąskiego holu. Przez dwuskrzydłowe oszklone drzwi po prawej dostrzegł salonik. Pod ścianami prawie kwadratowego pomieszczenia porozstawiano fotele i parę kanapek. Cofnął się do holu, rozejrzał i poszedł w jego głąb, stąpając cicho po drewnianej posadzce. Po lewej zobaczył drzwi do windy, a naprzeciwko nich mały kontuar hotelowej recepcji. Zbliżywszy się do lady, ujrzał za nią łóżko. Leżała na nim kobieta. Obok, na metalowej popielniczce, tliło się cygaro.

– *Pardon, madame.*

Kobieta otworzyła oczy, stęknęła i powoli się podniosła. Chwyciła cygaro i włożyła je do ust. Cameron poczuł zapach brudnego ciała, początkowo tłumiony przez gryzący dym. Zapach stał się wyraźniejszy, gdy kobieta podeszła do lady kontuaru.

– *Oui?* – odparła głosem ochrypłym i równie niemiłym, jak cały jej wygląd. Przez dymną mgłę wpatrywała się w Camerona.

– *Bon soir, madame. Quelle est la chambre de madame Guilloux?*

– *Un moment...* – Kobieta włożyła okulary i zaczęła kartkować hotelowy rejestr gości.

– *Madame Guilloux n'est pas ici* – poinformowała i odwróciła się.

– *Ah... pardon, madame.*

Kobieta zignorowała apel i usiadła na łóżku.

– *Madame!* – Cameron ponowił wezwanie.

– *Madame Guilloux n'est pas ici! Fiche-moi la paix!*

Cameron na tyle znał francuski, że zrozumiał, iż kobieta odprawia go z kwitkiem. Zaciśnął zęby i już miał zamiar wykorzystać resztę swej marnej francuszczyzny, by dać właściwą odpowiedź, kiedy dostrzegł obok siebie jakiś cień.

– Spóźnił się pan pięć minut – usłyszał kobiecy głos. Jego właścicielka posługiwała się bezbłędnie angielszczyzną.

Cameron obrócił głowę i ujrzał szczupłą sylwetkę Marie Guilloux, w obcisłych niebieskich džinsach i bawełnianej bluzce z napisem SAN FRANCISCO HARD ROCK CAFÉ. Stała w otwartych drzwiach windy.

– Długo będzie pan tak się gapił, panie...? Nie znam pańskiego nazwiska.

Cameron podeszedł do windy. – Nazywam się Cameron Stone i jestem o kilka minut wcześniej, a nie później, pani Guilloux.

– Proszę mówić mi Marie. Nie lubię formy „pani Guilloux”. Nie lubiłam jej nawet wtedy, gdy żył mój mąż. Jedźmy na górę, zanim nas ktoś zauważy.

Cameron ledwo wcisnął się do malutkiej kabiny, w której trudno było nie dotykać się dwóm osobom. Stara winda wydała kilka niepokojących odgłosów, nim wreszcie ruszyła. Cameron, bardzo skrzepowany, stał w bezruchu z twarzą oddaloną zaledwie o kilka centymetrów od twarzy kobiety. Wzrok utkwiał w jakiś punkt nad jej głową, ale czuł na sobie baczne spojrzenie.

– Mówi pani po angielsku bez najmniejszego akcentu – bąknął, chcąc przełamać lody i ukryć, jak bardzo nań działa bliskość kobiety.

– Być może dlatego, że angielski jej moim rodzimym językiem – odparła. – Urodziłam się i wychowałam na Florydzie, panie Cameron. Moje panięńskie nazwisko brzmi Roberts.

Winda dowlokła się do drugiego piętra i stanęła. Marie otworzyła drzwi i wyszła. – Tędy. – Wskazała korytarz.

Poszedł za nią aż do ostatnich drzwi. Marie wyjęła z kieszeni klucz, przekreśliła go w zamku i pchnęła klamkę. – Nie najgorszy pokój, jak na dwadzieścia pięć dolarów dziennie. – Szeroko otworzyła oba okna wychodzące na uliczkę de Cujas.

– Wybacz mi pani, ale nie tak wyobrażałem sobie nasze spotkanie – wyrwało się Cameronowi.

Marie usiadła na jednym z dwóch łóżek. Zaskoczona patrzyła na mężczyznę. – Oo! A dlaczego to?

– Zaczniemy od tego miejsca i pani zachowania, które wydaje się odbiegać od stereotypu. Nie sprawia pani wrażenia zrozpaczonej wdowy. Przeczytałam dziś rano o śmierci pani męża...

– Pan mi z kolei wybacz to, co powiem. Chyba powinno być dla pana rzeczą oczywistą, że wybrałam takie, a nie inne miejsce spotkania, ponieważ nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, że kontaktuję się z CIA. Być może do nawiązania ze mną kontaktu CIA przysłała niewłaściwą osobę.

Cameron zmarszczył brwi. – Powiedziałem, co powiedziałem, ponieważ poinformowano mnie, iż sprawa jest rutynowa i mam tylko odebrać od pani zwykłe oświadczenie. Jeśli chodzi o coś więcej, to chciałbym to od razu usłyszeć.

– Dlaczego od razu? Żeby mógł pan obrócić się na pięcie i czym prędzej umknąć? – Wstała i podeszła do okna.

– Nie. Po to, żebym mógł ocenić, czy to miejsce jest dostatecznie bezpieczne, i zadać kilka pytań na temat, jak pani tu dotarła. Przebranie się za turystkę i zamieszkanie w tej norze nie oznacza, że nikt pani nie śledzi.

Obróciła się w jego kierunku i, patrząc już z mniejszą niechęcią, odparła: – Dobrze, rozumiem. Przepraszam. Przez chwilę myślałam...

– Jestem tylko agentem, a nie wróżbitą. Niech mi pani teraz powie, co tak ważnego skłoniło panią do użycia kodu? I skąd go pani miała? Z tego, co wiemy, nie była pani nigdy związana z CIA.

– Kod dał mi mój mąż.

– Ciekawe. – Cameron zmarszczył brwi. – Co ma nam pani do powiedzenia?

Marie obróciła się z powrotem do okna, wsparła dłońmi o parapet i uniosła głowę. Wiaterek poruszał jej długimi czarnymi włosami. Bardzo atrakcyjna kobieta, pomyślał Cameron.

– Chodzi o wieczór poprzedzający dzień wypadku... – odparła, nie odwracając głowy.

– Tak? – Cameron usiadł na łóżku i rozluźnił krawat.

– Claude spędził cały tydzień w Kourou, usiłując rozwiązać kilka problemów związanych ze startem rakiety Athena V. W drodze powrotnej zadzwonił do mnie z samolotu. Wydawał się czymś bardzo przejęty, a nawet zaniepokojony.

– No cóż, człowiek na tym stanowisku, obarczony tak wielką odpowiedzialnością... Jest rzeczą naturalną, że mógł się niepokoić...

– Nie, to nie była zwykła troska związana ze startem. Claude i ja przepracowaliśmy razem wiele lat. Tu, w Paryżu, i w Kourou. Poznaliśmy się przy okazji opracowywania systemów nawigacyjnych dla rakiety Athena V. I przez następne lata nauczyliśmy się skutecznie pracować, mimo olbrzymich napięć i presji związanych ze ściśle przestrzeganiem harmonogramami startów. Claude, oczywiście, miał czasami wyjątkowo ciężkie dni ze swoim ukochanym dzieckiem, rakieta Athena, ja także, ale tamtego wieczoru... To było coś innego. Nie był zdenerwowany czy wściekły, bądź niespokojny, z powodu czegoś przewidywalnego. Wydawał się raczej przerażony. Przez kilka sekund wydawało mi się, że wyczuwam w jego głosie strach.

– Wybacz mi pani, ale nadal nie rozumiem, dlaczego ma to interesować CIA.

– Proszę mi dać skończyć. – Obróciła się w stronę rozmówcy. – Kiedy wziął się w garść, powiedział, że sprawdziły się plotki na temat rosyjskiego promu. I wtedy właśnie dał mi to hasło dostępu do was na wypadek, gdyby...

– Chwileczkę. Proszę się zatrzymać. Jakie plotki? Jaki rosyjski prom?

Marie na chwilę zamknęła oczy, usiadła na parapecie i palcami przeczesła włosy. – Przed paroma miesiącami, wkrótce po wejściu na orbitę, eksplodował rosyjski prom kosmiczny. Krążyły w naszym centrum plotki, że przypadkowo zderzył się z którymś z satelitów wyniesionych na orbitę przez Athenę. Jeden z naszych techników w Kourou dostrzegł na ekranie sygnał zakończenia pracy jakiegoś satelity. Koniec jego istnienia, a w każdym razie funkcjonowania. Wówczas nikt nie zwrócił na to większej uwagi. W okresie prób z rakieta Athena V umieściliśmy na orbicie dziesiątki satelitów, które wciąż wykorzystujemy przed startami do obserwacji układów pogodowych. Od czasu do czasu któryś z tych satelitów schodzi na tak niską orbitę, że staje się bezużyteczny. Wówczas go niszczymy, aktywując jego silniki. Satelita spala się po wejściu w atmosferę. No i kiedy dotarła wiadomość, że eksplodował prom rosyjski, mniej więcej w tym samym czasie i miejscu, gdzie likwidowany był jeden z naszych zbędnych satelitów, poszła plotka, że to my przypadkowo rozwaliliśmy Rosjanina. Ale zarząd Atheny szybko odrzucił plotkę jako absurdalną. Oficjalnie zamknięto sprawę, nie przeprowadzając poważniejszego dochodzenia. Claude był z tego powodu bardzo niezadowolony. Chciał wiedzieć, czy Athena mogła popełnić jakiś błąd i jaki. Jednak okazało się, że ów sygnał o unicestwieniu obiektu kosmicznego został usunięty z pamięci komputera dozoru przestrzeni kosmicznej.

– Wszystko to rozumiem, ale co konkretnie chce mi pani powiedzieć? Że coś lub ktoś...?

– Chcę powiedzieć, że śmierć mojego męża nie była przypadkowa, jak to podają gazety.

– Pani zdaniem ktoś go zabił?

– Tak uważam. Claude zdążył mi powiedzieć, że udało mu się, i jeszcze paru naukowcom, odzyskać fragmenty wymazanego z pamięci sygnału. Z tych fragmentów można było wnioskować, że rosyjski prom nie rozpadł się przypadkowo, ale został świadomie zniszczony. I twierdził, że ma dowody, iż uwikłane jest w to najwyższe kierownictwo naszego konsorcjum.

– Co mówi policja francuska na temat śmierci Claude’a?
– Policja twierdzi, że to zwykły wypadek. Powiedziałam im, że nie zgadzam się z takim wnioskiem, i podałam powody. Powiedziałam, że zbyt szybko zamykają sprawę, i że powinni przeprowadzić dokładniejsze dochodzenie.

– I co oni na to?

– W pół godziny po rozmowie, jaką miałam z prowadzącym sprawę detektywem, zadzwonił do mnie niejaki inspektor Philippe Roquette. Powtórzyłam mu to wszystko, co powiedziałam detektywowi. On mi na to odparł, że dochodzenie było profesjonalne, i że on zgadza się z konkluzją, iż profesor Guilloux zginął w wypadku samochodowym. Potem powiedział, że ma wiele innych spraw na głowie i odwiesił słuchawkę.

– I na tym się skończyło?

– Tak. Teraz pan rozumie, dlaczego zadzwoniłam do amerykańskiej ambasady?

– Może w istocie... – Cameron przerwał i podszedł do drzwi.

– O co cho...? – zaczęła, ale uciszył ją przyłożeniem palca do ust. Wyjął berettę i przykleknął, opierając się plecami o ścianę obok futryny. Kroki, które po raz pierwszy usłyszał przed parunastu sekundami, ale początkowo zlekceważył, powtórzyły się. Teraz ktoś wracał korytarzem. Dziwne. Może pokojówka? Natychmiast odrzucił taką możliwość. Nie o tej porze. Zagubiony turysta szuka swego pokoju? Być może, ale dlaczego dwukrotnie zatrzymał się przed tymi właśnie drzwiami?

Serce Cameron zaczęło bić szybciej. Ręką dał znać Marie, by położyła się na podłodze za toaletką obok dalszego z okien. Następnie wyciągnął rękę i nacisnął klamkę. Stuknięcie zapadki wywołało serię strzałów. Posypały się drzazgi z przebitego w wielu miejscach drewna. Cameron odskoczył i przeturlał się w kierunku toaletki.

– Nie ruszaj się! – wykrzyknął do Marie i wycelował pistolet w sam środek nadal zatrzaśniętych drzwi.

Po strzelaninie nastąpiła sekundowa cisza, po której rozległy się krzyki z sąsiednich pokoi. Cameron tkwił bez ruchu wpatrzony w drzwi, z pistoletem wycelowanym w ich środek. Nikt nie próbował wyważyć drzwi.

Marie cała się trzęsła, drgały jej usta, patrzyła półprzytomnie szeroko otwartymi oczami. Cameron dopiero wtedy zauważył, że są barwy żywej zieleni.

– Uspokój się. I nie ruszaj się. Tak długo, jak...

Przez otwór w drzwiach do pokoju wpadł ciemny przedmiot kształtu gruszki i potoczył się po podłodze.

Granat!

Cameron instynktownie objął Marie i przeturlał się z nią w najodleglejszy kąt pokoju.

Granat wybuchł. Cameron zamknął oczy i czekał na ból, gdy trafią go pierwsze odłamki. Nic. Otworzył oczy i stwierdził, że pokój tonie w kłębach gęstego dymu. Marie krztusiła się. Camerona zapiekły oczy. Gdzie jest beretta? Macał dłońmi po wytartym dywanie. Nie znalazł broni. W korytarzu słychać było ostrożne kroki. Ktoś zbliżał się do drzwi.

– Szybko, wstawaj – szepnęła do Marie. – Ja prowadzę.

– Nic nie widzę. Boże, moje oczy...! – jęczała.

Cameron chwycił jej prawy nadgarstek i pociągnął za sobą w stronę okna. Wdrapał się na parapet, wychylił i zaczerpnął świeżego powietrza. Przez załzawione oczy dostrzegł grubą miedzianą rynnę schodzącą z dachu ku ziemi. Była w zasięgu jego ręki. Wydzwignął na parapet Marie.

– Obejmij mnie od tyłu za szyję. Szybko – polecił.

– Nic nie widzę, nic nie widzę – odparła płaczliwie.

Kroki w korytarzu ucichły przed drzwiami.

– Szybko, cholera! Łap mnie! – warknął.

Wreszcie to zrobiła.

– Teraz obejmij mnie w pasie nogami. Trzymaj się mocno. Policzę do trzech i skaczemy. Zrozumiałas?

– Tak, ale...

– Raz, dwa, trzy...!

Chwycił mocno rynnę, skoczył, zawisł na grubej rurze, trzymając się jej rozpaczliwie obiema rękami.

Usłyszał kopniak w drzwi, potem trzask łamanego drewna.

Cameron czuł, że w tej pozycji nie utrzyma długo ciężaru na plecach. Zaczął się opuszczać, jak mógł najszybciej, wiedząc dobrze, że napastnikowi potrzeba zaledwie kilku sekund, by zorientować się, któredy uciekli przebywający w pokoju.

– *Mon Dieu! Mon Dieu!*

Cameron spojrzał w dół i zobaczył starą kobietę zza hotelowego kontuaru. Stała na chodniku i wydierała się wniebogłosy.

– Cholera! – zaklął.

Wokół hotelu zaczęli gromadzić się ludzie. Cameron zadarł głowę i zobaczył w oknie głowę mężczyzny z siwą brodą. Patrzył prosto na nich.

– Trzymaj się mocno, Marie! – powiedział. Poczul mocniejszy ucisk rąk.

Rozluźnił uchwyt na rynnie i ześlizgnął się ostatnie trzy metry, ciężko padając na mokry chodnik. Przy uderzeniu o płyty chodnikowe Marie go puściła i oboje przeturlali się na jezdnię. Uderzył głową o zderzak zaparkowanego samochodu. Zabolalo. Spojrzał ponownie w górę. Brodac znikł.

Zamglonymi z bólu oczami spojrzał na trzech młodych ludzi, którzy pochyłali się nad leżącą bez ruchu Marie. Zerwał się na nogi. Liczyła się każda sekunda. Łada moment z hotelu mógł wyskoczyć napastnik.

– *Allez-vous en!* – krzyknął do zaskoczonej trójki i brutalnie odsunął młodzieńców. Uniósł rękę Marie i sprawdził puls. Jest! Podniósł ją z ziemi i, przerzuciwszy sobie przez ramię, puścił się pędem ulicą. Z każdą sekundą kobieta wydawała się cięższa. Ból ramienia był coraz dotkliwszy. Ignorował ciężar, ignorował ból, biegł.

– Proszę zaczekać! – usłyszał wołanie.

Obejrzał się. Na progu hotelu stał siwobrody mężczyzna i machał do niego ręką. Cameron nie zatrzymał się. Na skrzyżowaniu skręcił w szerszą ulicę. Zauważył po lewej wąski zaułek i zanurzył się w jego mrok.